



Bohaterowie Powstania

– charakterystyka postaw powstańczych

Uwagi wstępne

Lekcja przeznaczona dla uczniów klasy II lub III gimnazjum. Uczniowie powinni znać „Kamienie na szaniec” Aleksandra Kamińskiego.

Cele

Po lekcji uczeń powinien:

- stworzyć katalog cech osobowościowych i charakterologicznych przynależnych Powstańcom;
- określać emocje i uczucia towarzyszące Powstańcom;
- wskazać czynniki mające wpływ na proces wychowania młodego człowieka;
- odnaleźć podobieństwa między swoim pokoleniem, a pokoleniem żyjącym w czasie okupacji;
- znać przyczyny różnic i podobieństw między swoim pokoleniem, a pokoleniem bohaterów lekcji;
- rozumieć termin „pokolenie Kolumbów”.

Środki dydaktyczne:

- szary papier,
- flamastry,
- kartki papieru,
- materiały pomocnicze nr 1–7.

Przebieg zajęć:

1 Na początku lekcji pokazujemy uczniom zdjęcia bohaterów lekcji (materiał pomocniczy nr 1). Stosując „burzę mózgów” próbujemy znaleźć odpowiedzi na pytania:

- Kim mogą być osoby przedstawione na zdjęciach?
- Ile mogą mieć lat ?
- Czym się zajmują?

Rozmowa ta powinna być pretekstem do wprowadzenia tematu lekcji, określenia jej celów i przedstawienia uczniom bohaterów lekcji.

2 Dzielimy uczniów na 5 – 6 grup. W grupach tych uczniowie będą pracować do końca lekcji.

3 Pierwsze zadanie dla grup. Rozdajemy uczniom życiorysy bohaterów lekcji (materiał pomocniczy nr 2). Uczniowie po zapoznaniu się z nimi próbują odnaleźć wspólne punkty w życiu młodych ludzi. Na planszy, szarym papierze zostają rozrysowane informacje, które łączą bohaterów lekcji (materiał pomocniczy nr 3). Wśród nich powinny znaleźć się dane na temat:

- daty urodzenia (wszyscy urodzeni około roku 1920),
- rodziny (rodziny inteligentkie, wojskowe),
- szkoły, do jakiej uczęszczali (warszawskie gimnazja, wielu absolwentów Gimnazjum Batorego),
- przynależności do organizacji i stowarzyszeń (członkowie przedwojennego harcerstwa),
- losów wojennych (udział w tajnej walce, przynależność do organizacji konspiracyjnych, udział w PW).

Rozmawiamy z uczniami na temat tego, czym jest wychowanie. Szukamy czynników mogących mieć wpływ na wychowanie człowieka. Wraz z uczniami wskazujemy czynniki, które mogły wpłynąć na rozwój i wychowanie młodych ludzi – bohaterów lekcji. Niewątpliwie należą do nich: szkoła, dom, harcerstwo.

4 Zadanie dla grup. W grupach uczniowie otrzymują teksty (materiał pomocniczy nr 4) związane z poszczególnymi sferami, mającymi wpływ na wychowanie. Grupy zajmują się wpływem:

- domu rodzinnego,
- rolę szkoły,
- rolę harcerstwa.

5 W odniesieniu do przedstawionych materiałów rozmawiamy z uczniami na temat czynników, które wpłynęły na wychowanie bohaterów lekcji. Zastanawiamy się także nad podobieństwami między dzisiejszą młodzieżą, a tą dorastającą w czasie II wojny światowej. W rozmowie można poruszyć problem dorastania, dojrzałości i zastanowić się, w jaki sposób sytuacja okupacyjna zmieniała warunki dojrzewania młodzieży.

6 Co się dzieje z młodymi ludźmi w czasie okupacji hitlerowskiej w Polsce? Jak zmienia się ich sytuacja edukacyjna? Czy podejmują walkę z okupantem? Jeśli tak, co mogło mieć wpływ na podjęcie takiej decyzji? Jakie działania przeciwko okupantowi podejmują młodzi ludzie? To zaledwie kilka pytań, które można postawić uczniom. Wykorzystując znajomość „Kamieni na szaniec” Kamińskiego, formułujemy wnioski dotyczące następujących tematów:

- Analiza czynników mających wpływ na podjęcie decyzji przez młodych ludzi o przystąpieniu do pracy konspiracyjnej.
- Forma walki z niemieckim okupantem (walka konspiracyjna, podziemna).
- Działania przeciwko okupantowi podejmowane przez członków organizacji konspiracyjnych (Mały Sabotaż, dywersja).

Wnioski zapisujemy na arkuszu papieru.

7 Podajemy uczniom datę wybuchu Powstania Warszawskiego i rozmawiamy o tym, że udział w Powstaniu był konsekwencją działalności konspiracyjnej. Zastanawiamy się, jak młodzi ludzie przyjęli decyzję o wybuchu Powstania, jakie mieli oczekiwania wobec niego.

8 Zadanie dla grup. Każda grupa otrzymuje fragmenty tekstów dotyczących różnych sytuacji związanych z Powstaniem Warszawskim (materiał pomocniczy nr 5). Zadanie grup polega na określeniu osoby bohatera, sytuacji w jakiej się znajduje, próbie odnalezienia emocji towarzyszących w czasie zdarzenia i określeniu cech charakteru. Grupa przedstawia swoje wnioski pozostałym uczniom.

9 Zapisujemy wnioski na szarym papierze za pomocą mind-mapy. Dzięki temu powstaje zbiorowy portret bohatera Powstania (materiał pomocniczy nr 6).

10 Stawiamy uczniom kolejne pytania: Co zmieniła w życiu młodych ludzi przynależność do organizacji konspiracyjnych? Jaki wpływ miała II wojna światowa system wartości młodych ludzi? Przedstawiamy uczniom fragmenty wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Pokolenie” (materiał pomocniczy nr 7). Interpretacja wiersza może być pomocna przy wprowadzeniu terminu „pokolenie Kolumbów”.

11 Podsumowaniem lekcji może być krótka dyskusja na tematy:

- Jakie wartości „pokolenia Kolumbów” są nam bliskie?
- Czego możemy nauczyć się od bohaterów lekcji?
- W jakich sytuacjach z ich życia nie chcielibyśmy się znaleźć?
- Czy podjęlibyśmy takie decyzje, jak oni?

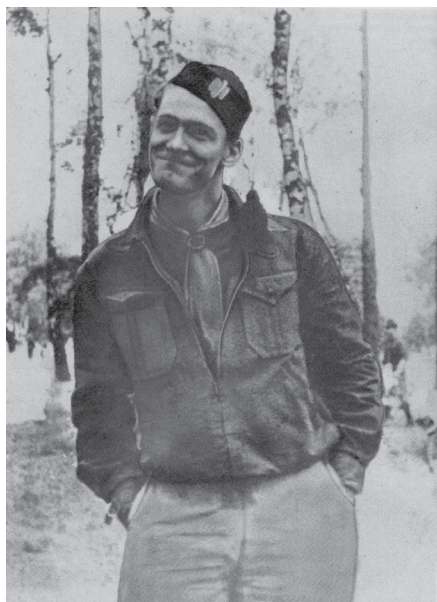




Z lewej Sławomir Maciej Bittner „Maciek”



*Jan Bytnar
„Rudy”*



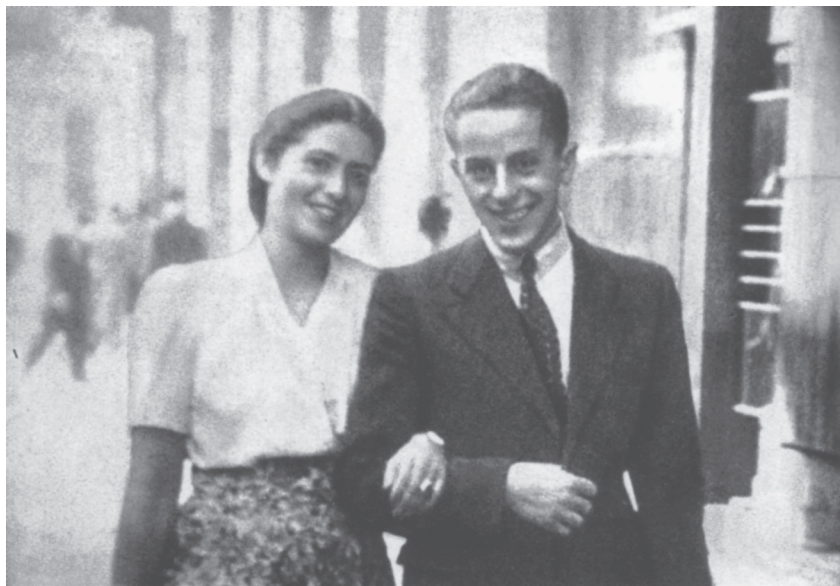
*Aleksy Dawidowski
„Alek”*



*Irena Kowalska
„Irka”*



*Maria Dawidowska
„Maryla”*



Stefan Mirowski z przyszłą żoną



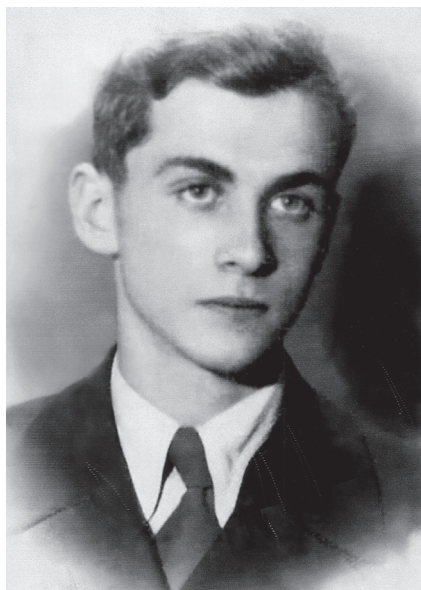
*Jerzy Gawin
„Słoń”*



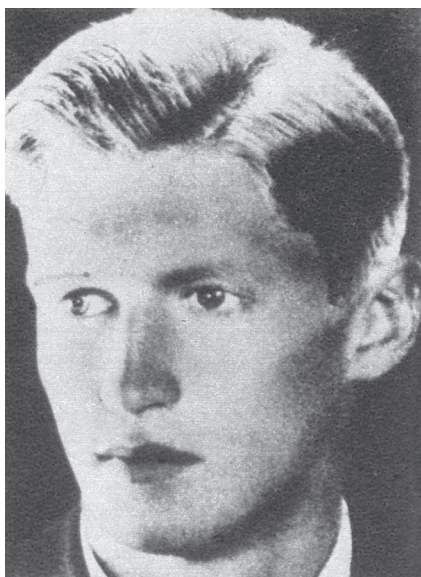
*Tadeusz Zawadzki
„Zośka”*



Jerzy Zborowski „Jeremi”



Krzysztof Kamil Baczyński „Krzysztof”



Andrzej Romocki „Morro”



Józef Szczepański „Ziutek”

Materiał pomocniczy nr 2

SŁAWOMIR MACIEJ BITTNER

Data urodzenia: 21 VIII 1923

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: ojciec Ludwik Bittner (oficer służby stałej WP)

Edukacja: uczęszczał do Gimnazjum im. S. Batorego, w 1941 roku uzyskał maturę na tajnych kompletach.

Inne: należał do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Bolesława Chrobrego

Losy wojenne:

W 1940 roku wstąpił do Związku Walki Zbrojnej. Działał na terenach wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej. Po powrocie do Warszawy został członkiem „Kedywu” KG AK. Po utworzeniu batalionu „Zośka” został dowódcą kompanii „Felek”. Uczestniczył w wielu akcjach bojowych i dywersyjnych Grup Szturmowych np. akcja pod Arsenalem, akcja „Celestynów”, akcja „Czarnocin”, akcja „Sieczychy”. Został aresztowany 18 lutego 1944 roku, trafił na Pawiak. Prawdopodobnie został rozstrzelany w czasie publicznej egzekucji ruinach getta warszawskiego.

JAN BYTNAR

Data urodzenia: 6 V 1921

Miejsce urodzenia: Kolbuszowa

Rodzice: ojciec Stanisław (żołnierz Legionów), Zdzisława

Edukacja: uczęszczał do Gimnazjum im. S. Batorego, we wrześniu 1940 roku rozpoczął naukę w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn (nazwa okupacyjna), którą ukończył w 1942 roku.

Inne: należał do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Bolesława Chrobrego, w 1938 roku zdobył najwyższy stopień młodzieżowy ZHP – Harcerza Rzeczypospolitej

Losy wojenne:

Od 1939 roku był członkiem Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej oraz uczestnikiem inicjowanych przez nią akcji małosabotażowych. Był członkiem ZWZ, Szarych Szeregów. W czasie okupacji prowadził hufiec „Ochota”, który miał doskonałe wyniki w działaniach Małego Sabotażu. Należał do Grup Szturmowych, brał udział w wielu akcjach dywersyjnych i bojowych. Został aresztowany 23 III 1943 roku. Torturowany, nie wydał nikogo. Odbity w akcji pod Arsenalem, zmarł na skutek obrażeń odniesionych w czasie przesłuchań.

MACIEJ ALEKSY DAWIDOWSKI

Data urodzenia: 3 XI 1920

Miejsce urodzenia: Drohobycz

Rodzice: Aleksy (inżynier technolog), Janina (inżynier chemik)

Edukacja: uczęszczał do Gimnazjum im. S. Batorego, we wrześniu 1940 roku rozpoczął naukę w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn (nazwa okupacyjna), którą przerwał z powodu wyjazdu z Warszawy w 1942 roku.

Inne: należał do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Bolesława Chrobrego

Losy wojenne:

Od 1939 roku był członkiem Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej oraz uczestnikiem inicjowanych przez nią akcji małosabotażowych. Należał do ZWZ, Szarych Szeregów. Ze swoją drużyną uczestniczył w pracach Małego Sabotażu. Do najbardziej znanych akcji należy zdjęcie tablicy z pomnika Kopernika. Wstąpił do Grup Szturmowych, brał udział w kilku akcjach dywersyjnych. W czasie akcji pod Arsenalem został ciężko ranny w brzuch, zmarł kilka dni później z powodu odniesionych ran.

TADEUSZ ZAWADZKI

Data urodzenia: 24 I 1921

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: Józef (profesor chemii, rektor Politechniki Warszawskiej), Leona (nauczycielka i działaczka oświatowa)

Edukacja: uczęszczał do Gimnazjum im. S. Batorego, we wrześniu 1940 roku rozpoczął naukę w Państwowej Wyższej Szkole Budowy Maszyn (nazwa okupacyjna), którą ukończył w 1942 roku. Jesienią tego roku rozpoczął studia w Wyższej Szkole Technicznej.

Inne: należał do 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Bolesława Chrobrego

Losy wojenne:

Od 1939 roku był członkiem Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej oraz uczestnikiem inicjowanych przez nią akcji małosabotażowych. Należał do ZWZ, Szarych Szeregów. W czasie okupacji prowadził hufiec „Mokotów Górny”, który miał doskonałe wyniki w działaniach Małego Sabotażu. Należał do Grup Szturmowych, brał udział w wielu akcjach dywersyjnych i bojowych takich jak: akcja „Celestynów”, akcja pod Arsenalem, akcja „Czarnocin”. Zginął 28 sierpnia 1943 roku w czasie ataku na posterunek straży granicznej w Sieczychach.

Materiał pomocniczy nr 2

IRENA WIKTORIA KOWALSKA

Data urodzenia: 21 V 1920

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: Henryk (inżynier elektryk), Janina (biolog)

Edukacja: uczęszczała do Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, po maturze w 1938 roku. rozpoczęła studia na Wydziale Elektrotechnicznym Politechniki Warszawskiej

Inne: należała do 14. Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej im. Królowej Jadwigi

Losy wojenne:

Należała do ZWZ, jeździła jako kurierka do Wilna i Lwowa. Była w składzie kobiecego zespołu Organizacji Małego Sabotażu. W czerwcu 1942 roku aresztowana została za zdjęcie flagi Czerwonego Krzyża z niemieckiego szpitala. Zwolniona z więzienia. Była komendantką drużyny łączności. Brała udział w Powstaniu Warszawskim, zaginęła we wrześniu 1944 roku w niewyjaśnionych okolicznościach.

MARIA DAWIDOWSKA

Data urodzenia: 3 IX 1922

Miejsce urodzenia: Żychlin

Rodzice: Aleksy (inżynier technolog), Janina (inżynier chemik)

Edukacja: była uczennicą żeńskiego Gimnazjum im. J. Słowackiego w Warszawie. W maju 1940 roku zdaje maturę na kompletach. We wrześniu 1941 roku rozpoczęła naukę w Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa, gdzie w lutym 1944 roku otrzymała dyplom pielęgniarki.

Inne: Od 1934 roku należała do harcerstwa, jest zastępową w 3. Warszawskiej Żeńskiej Drużynie Harcerskiej

Losy wojenne:

W 1942 roku brała udział w pracach żeńskiego zespołu Organizacji Małego Sabotażu. Od listopada 1942 roku pełniła funkcję sanitariuszki najpierw w Grupach Szturmowych, potem w batalionie „Zośka”. Opiekowała się rannymi w domach prywatnych i w Szpitalu Dzieciątka Jezus. W lipcu 1944 roku wyjechała z Warszawy. Nie brała udziału w Powstaniu Warszawskim.

STEFAN MIROWSKI

Data urodzenia: 14 III 1920

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: Adam (inżynier hutnik) i Helena (nauczycielka niemieckiego)

Edukacja: w 1937 roku ukończył Gimnazjum Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej w Warszawie i rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1944 roku ukończył Państwową Szkołę Budowy Maszyn.

Inne: od 1932 roku był członkiem, a następnie instruktorem 21. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej.

Losy wojenne:

W 1940 roku wstąpił do Szarych Szeregów, od 1943 roku pełni funkcję komendanta Chorągwi Warszawskiej. Był inicjatorem powstania najmłodszego pionu Szarych Szeregów – „Zawiszków”. Brał udział w Powstaniu Warszawskim, był komendantem Bloku „Prochownia” w Obwodzie „Ochota” AK. 10 VIII po zajęciu dzielnicy przez Niemców został wywieziony do Pruszkowa, a następnie do Oświęcimia. Uciekł z transportu i od października 1944 roku działał w Krakowie jako członek Głównej Kwatery Szarych Szeregów.

JERZY ZBOROWSKI

Data urodzenia: 26 VII 1922

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: Eugeniusz (urzędnik), Helena

Edukacja: uczęszczał do dwóch warszawskich gimnazjów (im. Adama Mickiewicza i im. Ks. Józefa Poniatowskiego). Maturę zrobił na tajnych kompletach w 1940 roku. Studiował w Państwowej Szkole Budowy Maszyn.

Losy wojenne:

Zaangażował się w działalność konspiracyjną od 1940 roku. Brał udział w akcjach Małego Sabotażu. Od sierpnia 1943 roku był członkiem batalionu „Agat”, późniejszego „Parasola”. Brał udział w kilku akcjach dywersyjno-bojowych m.in. akcji pod Arsenalem. W Powstaniu walczył na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie. Ciężko ranny został ujęty przez Niemców. Zginął wraz z żoną we wrześniu 1944 roku w niewyjaśnionych okolicznościach.

Materiał pomocniczy nr 2

ANDRZEJ ROMOCKI

Data urodzenia: 16 V 1923

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: Paweł (żołnierz I Korpusu Gen. Dowbora-Muśnickiego), Jadwiga

Edukacja: w 1940 roku ukończył na tajnych kompletach Gimnazjum Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej

Losy wojenne:

Zaangażował się w działania konspiracyjne od 1940 roku, brał udział w akcjach Małego Sabotażu. Był członkiem batalionu „Zośka”. Brał udział w wielu akcjach dywersyjnych i bojowych m.in. w akcji „Sieczychy” i akcji „Wilanów”. W czasie Powstania Warszawskiego walczył na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie. Poległ 15 IV 1944 roku w czasie walk o utrzymanie Wybrzeża Czerniakowskiego.

KRZYSZTOF KAMIL BACZYŃSKI

Data urodzenia: 22 I 1921

Miejsce urodzenia: Warszawa

Rodzice: Stanisław (legionista, brał udział w powstaniu śląskim), Stefania (autorka książek dla dzieci i wypisów szkolnych),

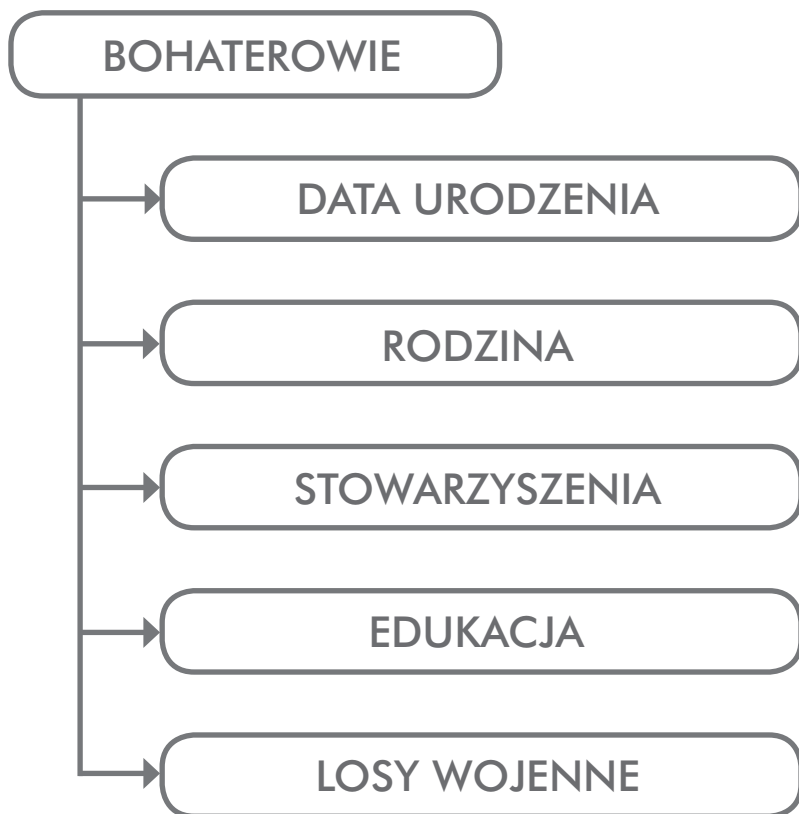
Edukacja: ukończył Gimnazjum im. Stefana Batorego. Studiował polonistykę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim.

Losy wojenne:

Zaangażował się w działalność konspiracyjną w 1943 roku. Był żołnierzem batalionu „Zośka”, brał udział w kilku akcjach zbrojnych. Tuż przed Powstaniem przeszedł do batalionu „Parasol”. Poległ 4 sierpnia 1944 roku w pałacu Blanka.

[Biogramy opracowano na podstawie:

- 1. T. Strzembosz, Bohaterowie „Kamieni na szaniec” w świetle dokumentów, Warszawa 1994.*
- 2. Powstanie Warszawskie – dni Polski niepodległej. Teki edukacyjne Muzeum Powstania Warszawskiego, Warszawa 2005.]*



a) GRUPA I–II – ROLA PRZEDWOJENNEGO HARCERSTWA**Przyrzeczenie Harcerskie**

Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym Prawu Harcerskiemu.

Prawo Harcerskie

1. Harcerz służy Bogu i Polsce i sumiennie spełnia swoje obowiązki.
2. Na słowie harcerza polegaj jak na Zawiszy.
3. Harcerz jest pożyteczny i niesie pomoc bliźnim.
4. Harcerz w każdym widzi bliźniego, a za brata uważa każdego innego harcerza.
5. Harcerz postępuje po rycersku.
6. Harcerz miłuje przyrodę i stara się ją poznać.
7. Harcerz jest karny i posłuszny rodzicom i wszystkim swoim przełożonym.
8. Harcerz jest zawsze pogodny.
9. Harcerz jest oszczędny i ofiarny.
10. Harcerz jest czysty w myśli, mowie i uczynkach, nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych.

Odnaką i symbolem harcerstwa stał się krzyż wprowadzony przez księdza Kazimierza Lutosławskiego – założyciela mojej „Trójki”. W krzyżu mieści się znak Męki i Zbawienia, tych dwu nierozzerwalnych zjawisk życia. Kształt harcerskiego krzyża jest odwzorowaniem najwyższego polskiego orderu za dzielność, odwagę i poświęcenie – orderu *Virtuti Militari* [...]. Na jego środku mała lilijka, którą kiedyś pojmę jako czystość wszelkich intencji. Zrozumiem, że owa lilijka promieniuje wokoło. Że ogarnia liście dębowe, symbol trwałości i mocy oraz liście laurowe, symbol zwycięstwa. Że wokół rozsypane są małe punkciki – symbol dobrych uczynków każdego z nas. I że te uczynki to nie tylko przeprowadzenie staruszki przez ulicę czy przyniesienie matce węgla z piwnicy, jak mówiło się wtedy nam, młodym [...]. Oto harcerski krzyż.

[S. Broniewski, *To nie takie proste; moje życie*, Warszawa 2001, s. 45–46.]

Nasza drużyna imienia Romualda Traugutta była pierwszą warszawską drużyną. Byliśmy wszyscy bardzo dumni z tego. Dzieliła się ona na trzy plutony, a każdy z nich na trzy zastępy. Na czele drużyny stał drużynowy. Za moich czasów przez 2 lata był nim kolega ze starszej klasy [...]. Obowiązywała zasada, że może nim być tylko kolega z wyższej klasy. Na zbiórkach omawiano prawo harcerskie, uczono się zawiązywania węzłów, mierzenia wysokości stojących w pewnej odległości drzew, szerokości rzeki i wielu innych tak zwanych polowych sprawności. Dużym powodzeniem cieszyły się wszelkie ćwiczenia sportowe, a więc lekkoatletyka, boks, ćwiczenia wolne i na przyrządach, fechtunek, pływanie i żeglarstwo. [...]

Po zdaniu na tak zwany trzeci stopień czyli najniższy, harcerz otrzymywał krzyż ze zwykłą oksydowaną Alaską lilijką w środku, taki sam jak tradycyjnie obowiązuje i teraz. Na drugi stopień zdawało się po roku i otrzymywało się krzyż ze srebrną lilijką, a po trzech latach należenia do harcerstwa – krzyż pierwszego stopnia ze złotą lilijką. Obowiązywała wtedy znajomość prowadzenia zajęć harcerskich w drużynie, trzeba też było opanować tak zwane terenoznawstwo czyli ćwiczenia polowe, musztrę oraz początki wojskowej taktyki. Wszyscy na ogół uczyli się tych umiejętności z całym zapałem. Na ogół niewielu było takich, którzy chcieli przyswoić sobie je przy pomocy różnych ułatwień, względnie skorzystać ze znajomości kolegów na wyższych funkcjach harcerskich. Ogół harcerzy niechętnie patrzył na podobne praktyki i zwykle szybko eliminował łazików ze swego grona. Prawa harcerskiego przestrzegano dość skrupulatnie. Bywały rzadkie wypadki palenia papierosów. Oddających się temu nałogowi usuwano bez pardonu. Oczywiście nie wszystkie punkty prawa harcerskiego były tak rygorystycznie przestrzegane. Nie miano za złe koledze drobnych kłamstw, zwłaszcza przy wykroczeniach szkolnych. Ceniono jednak prawdomówność i odwagę cywilną. W tej atmosferze wychowało się wiele dzielnych ludzi o mocnych charakterach i patriotycznych poglądach. [...].

Egzamin na najniższy czyli trzeci stopień harcerski odbyłem po trzech miesiącach należenia do harcerstwa. Komisja egzaminacyjna składała się z trzech osób: przedstawiciela hufca, drużynowego i jednego plutonowego. Egzaminowano dość długo i dokładnie. Kandydat do krzyża trzeciego stopnia musiał umieć wszystko, co przewidywał program szkolenia. Jeśli posiadał jakieś braki, polecano mu zgłosić się do egzaminu po miesiącu. Egzaminowane ze znajomości prawa harcerskiego, historii drużyny i życiorysu patrona drużyny, w naszym przypadku Romualda Traugutta oraz z podstawowych wiadomości z terenoznawstwa. Harcerz winien też był wykazać się umiejętnościami praktycznymi. Do najważniejszych należała sztuka szybkiego wiązania węzłów. Ponadto kandydat przeprowadzał przed komisją musztrę zastępu i zbiórkę opracowanych samodzielnie programów. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że harcerstwo w owych przełomowych dla Polski czasach szerzyło wśród

Materiał pomocniczy nr 4

młodzieży świadomość narodową, kształciło miłość ojczyzny, wyrabiało pozytywne, osobiste cechy charakteru jak zaradność, dzielność, męstwo, odwagę i prawdomówność! [...]

[T. Bąblewski, *U progu niepodległości. Wspomnienia z lat 1915 – 1921*, cyt. za www.wneuw.edu.pl.]

PYTANIA POMOCNICZE

- Jakie cele i zadania stawiało przed sobą harcerstwo?
- Jakie były najważniejsze czynniki przyciągające młodzież do organizacji harcerskiej?
- Jakich wartości uczy przestrzeganie prawa harcerskiego?
- Czego może nauczyć przestrzeganie prawa harcerskiego?
- Jaka jest symbolika krzyża harcerskiego i lilijki harcerskiej?



b) GRUPA III-IV – ROLA SZKOŁY

W wyniku reorganizacji szkolnictwa średniego szkoła otrzymała nazwę VI Państwowe Liceum i Gimnazjum im. Tadeusza Reytana. Jako jedyna w Warszawie otrzymała klasę klasyczną. Lekcje zaczynały się o 8:00 krótką modlitwą, a kończyły o 14:00. W wolnych izbach po południu odbywały się zebrania kółek naukowych, próby chóru, orkiestry, zespołu teatralnego. Trzy razy w tygodniu otwierano bibliotekę.

Dbałość władz o rozwój fizyczny młodzieży zaowocowała obowiązkowymi lekcjami przysposobienia wojskowego, na które przychodzono w mundurach (drelichowe długie spodnie, bluza i pas z klamrą), a po czterech lekcjach instruktorzy prowadzili uczniów do tzw. „kosza-Blocka” – obok wiaduktu mostu Poniatowskiego, gdzie odbywała się musztra. Latem, na wakacje, obowiązkowo jeżdżono do Kozienic – w obozie nad stawem ćwiczone marsze, naukę strzelania oraz wprawiano się w ćwiczeniach polowych. Wiosną lub jesienią gimnastyka odbywała się na Agrykoli. Ambicją chłopców było zdobycie Odznaki Strzeleckiej i Państwowej Odznaki Sportowej, także udział w zawodach o mistrzostwo sportowe szkół średnich Warszawy. W latach trzydziestych Reytan zdobył je trzykrotnie w pływaniu i strzelaniu. Duszą szkoły była drużyna harcerska, do której należał co trzeci uczeń. Harcerze mieli własną izbę, sztandar, cztery sygnałówki, dwa werble i pełen ekwipunek obronny. Rozkazem Komendy Chorągwi z 16 lutego 1929 roku drużyna otrzymuje zaszczytny tytuł „Czarnej Jedyнки” i od tego dnia jej oficjalna nazwa brzmi: Pierwsza Warszawska Drużyna Harcerska im. Romualda Traugutta „Czarna Jedyнка”. Obowiązywało jednolite umundurowanie – czarne sznurowane buty, czarne skarpety podkolanówki, piaskowego koloru spodnie, koszule barwy khaki i czarne chusty na znak czci dla Romualda Traugutta.

W budynku przy Książęcej 4 izbę harcerską udekorowano w stylu kurpiowskim. Intencją nauczycieli było, by młodzież poznała i pokochała mądrość antyku, dlatego szczególnie miejsce w historii szkoły zajmowała szczególne miejsce w historii szkoły zajmowała klasa klasyczna. Istniał gabinet kultury antycznej, do którego eksponaty wykonali sami uczniowie, a w bibliotece było wiele dzieł naukowych oraz utworów pisarzy greckich i rzymskich. Rozwijające się zainteresowanie antykiem spowodowało, że prenumerowano miesięcznik „Filomata”, a od 1928 roku organizowano szkolne przedstawienia dramatów Ajschylosa i Sofoklesa (Helena, Felicjanki wspólnie z liceum żeńskim), Józef Krudowski skomponował muzykę hymnu do Apolla i wyćwiczył chór. Niezbędne kostiumy produkowano we własnym zakresie.

Ucząc patriotyzmu nauczyciele akcentowali święta narodowe, które obchodzono szczególnie uroczystie (1930 – stulecie Powstania Listopadowego i 1933 – siedemdziesięciolecie Powstania Styczniowego).

Dyrektor Jaroszyński dążył do tego, by chłopcy poznali całą Polskę – co roku prawie każda klasa wyjeżdżała na wycieczkę zwiedzając tereny przemysłowe lub podziwiając przyrodę.

[www.reytan.edu.pl]

Materiał pomocniczy nr 4

Istniała w Warszawie szkoła, dobra szkoła. W stolicy nie brak było doskonałych szkół. I ta była właśnie jedną z nich. W szkole tej pracował właściwy zespół nauczycielski. Gdy piszemy „właściwy” nauczyciel, mamy na myśli człowieka, który posiada umiejętność zachęcania i wdrażania uczniów do samokształcenia. Tę właśnie właściwość miała większość nauczycieli gimnazjum imienia króla Stefana Batorego.

[A. Kamiński, Kamienie na szaniec, Katowice 1993, s. 14.]

Uczniów obowiązywało noszenie czapek szkolnych, były to „maciejówki” koloru niebieskiego różniące się od czapek noszonych przez uczniów gimnazjum im. J. Zamoyskiego, których „maciejówki” były koloru jasnoniebieskiego, a właściwie popielate. [...] Większość z nich podporządkowywała się zwykle bez szemrania temu zarządzeniu i do szkoły przychodziła w czapkach. Później, w następnym roku, kiedy szkoła przekształciła się w gimnazjum ośmioklasowe, młodzież z VIII klasy uważała, że już jest tak dorosła, że nie potrzebuje nosić czapek szkolnych. Często więc przychodziła do szkoły w innym nakryciu głowy, względnie wchodząc do szkoły ukrywała je w teczkach. [...] Ja natomiast byłem dumny, że noszę taką czapkę, kupiłem ją sobie zaraz na początku roku, tak samo jak i mój kolega Bistram.

[T. Bąblewski, U progu niepodległości. Wspomnienia z lat 1915 – 1921, cyt. za www.wne.uw.edu.pl.]

Gimnazjum Batorego nr 1, jak przystało na „jedynekę”, było z założenia państwowe i państwowotwórcze. Lekcje rozpoczynał hejnał grany na trąbce na melodię „Bogurodzicy”. Modlono się i śpiewano hymn z muzyką ucznia tej szkoły, dziś światowej sławy kompozytora – Witolda Lutosławskiego. Słowa ułożył polonista, poeta futurystyczny, Stanisław Młodożeniec. [...]

[W. Budzyński, Warszawa Baczyńskiego, Warszawa 2004, s. 32.]

HYMN SZKOŁY IM. STEFANA BATOREGO**Na chór mieszany a capella**

*Pochodem idziemy uczniowska gromada
Świat wielki się oczom naszym rozkłada
Łamiemy rozumem wciąż nowe zapory,
Więc naprzód i naprzód bo znak nasz Batory,
Batory, znak nasz Batory!*

*Pochodem idziemy uczniowska gromada,
I serca nam rosną i tętnią uporem.
Więc naprzód i naprzód tym światem owładać
Więc naprzód i naprzód bo znak nasz Batory
Batory, znak nasz Batory!*

PYTANIA POMOCNICZE

- Na co kładziono szczególny nacisk w procesie edukacji?
- Jakich tradycji szkoła przestrzegała?
- Jaką rolę w życiu uczniów pełnili nauczyciele?
- Jaki powinien być „właściwy nauczyciel”?
- Jakie zajęcia odbywały się w szkołach?
- W jakich zajęciach pozalekcyjnych brali udział uczniowie?

c) GRUPA V-VI – ROLA DOMU RODZINNEGO

List Pawła Romockiego do synów Andrzeja i Jana, Katowice 22 I 1939.

Naczelny Dyrektor
Unii Polskiego Przemysłu
Górnictwo–Hutniczego
Drodzy moi!

Czy pamiętaliście o rocznicy powstania styczniowego? Jest ona nam drogą jako krwawy znak dążenia do niepodległości. Ten znak pozostał niby znamię, piętno na ramieniu każdego z nas. Po tym znamieniu poznaje się plemię polskie, poznaje się każdego, kto do dumnego narodu na szczyt należy. Tych znaków krwawych na Waszych ramionach jest wiele. Dzisiaj myślimy o znamieniu roku [18]63. [...]

A myśląc o Was nie mogę oprzeć się wewnętrznemu przymusowi do dzielenia się z Wami pewnymi uczuciami i przeświadczeniami. Dlatego piszę i proszę: po przeczytaniu list schowajcie.

Wasz Ojciec i Wasz Dziad, i Wasi Pradziadowie zostawili na Waszych ramionach znamiona służby Rzeczypospolitej. Tak jak chlubą moją jest przodków moich służba, tak Waszą chlubą i Waszą dumą winno być przeświadczenie, że należycie do rodu – zawsze gotowego dla idealnych chociażby konieczności patriotycznych siebie poświęcić. Takich rodów jest wiele w Polsce, ale w procentach do ogółu ludzkości ułamek mały.

Duma, do której jesteście uprawnieni, nie upoważnia do pustej Drożności, do przechwalania się. Broń Boże! Ta duma obowiązuje Was zawsze i w każdym Waszym poczynaniu, przenika Wasze przeświadczenie o tym, co jest godziwe i szlachetne, a co jest niegodziwe i nieszlachetne dostępu do Was nie ma. Duma, którą mam na myśli, jest szacunkiem dla siebie samego, wysoką oceną siebie, swoich poczynañ, swoich aspiracji życiowych. Wyraża się stanowczym oporem, gdy o honor osobisty chodzi, niechęcią natomiast do towarzystwa o instynktach i skłonnościach niskich.

Taką dumę nazwać można ambicją, wzmocnioną o przeświadczenie, że jak poprzednicy Wasi, tak i Wy w tym rodzie z poziomością upodobań, trywialnością i bezideowością nie macie nic wspólnego.

Jesteście z rodu rycerzy zrosłych wszystkimi fibrami serca z Rzeczpospolitą i jej sprawami, i tego ducha szlachetnego macie obowiązek kultywować przede wszystkim – w sobie. [...]

[T. Strzembosz, *Bohaterowie „Kamieni na szaniec” w świetle dokumentów*, s. 20.]

Prof. Józef Zawadzki o synu Tadeuszu – „Zośce”, 1943.

Dzieci od lat najmłodszych przysłuchiwały się rozmowom prowadzonym między ich rodzicami czy ludźmi im bliskimi. To, o czym się mówiło, i to, jaki był stosunek do różnych zagadnień, wywierało, jak się pokazało, wpływ przemożny na ich psychikę i charakter. W krew im wchodziło, że są sprawy ważniejsze od osobistych wygod i przyjemności, że nie można dążyć do dobra własnego kosztem dobra cudzego. W zwyczaju było, że kłopoty z zakresu mojej i żony pracy omawialiśmy wspólnie, jeżeli tylko sprawy same miały charakter ogólniejszy i druga strona mogła być pomocną w radzie i ocenie. Gdy dzieci dorastały, dzieliliśmy się nieraz z nimi kłopotami nas dotyczącymi, poddając również i pod ich ocenę i krytykę pewne sprawy z zakresu naszej pracy, jak np. treść pewnych wypowiedzi i sformułowań.

Nie było między nami, tj. mną i żoną, jak również między nami i dziećmi nigdy wielkich sporów w sprawach zasadniczych; byliśmy wyjątkowo zgrani i stosunek do problemów życiowych nas nie różnił; różnice zdań łatwo wyrównywaliśmy. Zawsze wzajemnie odgadywaliśmy, jak ustosunkuje się ktoś drugi do tej czy innej sprawy. Podobnie jak ja myślałem zawsze to samo, co żona, tak samo dzieci myślały to samo, co my oboje. Stosunki domowe cechowała wielka harmonia, konflikty nie wyrastały nigdy poza sprawy drobne, doraźne, bez znaczenia.

Powiernikiem dzieci w ich kłopotach, zmartwieniach była głównie matka, ojciec był ich kompanem w grze w tenisa, pływaniu itp. Pamiętam, jak przez lat kilka w lecie dźwigaliśmy nad rzekę kajak, zbudowany samodzielnie przez Tad.[eusza] jako jeden z pierwszych jego wyczynów związanych z pracą w harcerstwie.

Wspólna z Tadeuszem mania do zbierania znaczków pocztowych dawała tu wiele okazji do wspólnego przebywania i zbliżenia, z rozczuleniem przypominam sobie, jak żona w chwilach wolnych podczas lata myła dla nas znaczki, choć sprawy te jej zupełnie nie obchodziły i uważała je za dość niemądrą rozrywkę.

Matkę Tadeusza cechował zawsze wyjątkowy spokój i przychylny stosunek do ludzi, który w całej rozciągłości przeszedł na syna; po matce też odziedziczył to, co stało się ostatnio jego cechą najbardziej charakterystyczną – pełne oddanie się sprawie.

Rozmawiał nieraz ze mną o swych pracach, na ogół w formie jednak bardzo ogólnikowej, nie chwalił się nigdy żadnymi swymi wyczynami, nie wspominał nigdy o otrzymaniu Krzyża Walecznych, choć mówił o odznaczeniu Alusia, o przyznaniu mu tego odznaczenia dowiedziałem się już po jego śmierci. [...]

Materiał pomocniczy nr 4

Tad.[eusz] nieomal od urodzenia miał szczęście do ludzi. Pociągała ich jego uroda i jasne spojrzenie. Miał od dziecka rzadką właściwość interesowania się wszystkim, co go otaczało, czy były to rzeczy ważne, czy błahe; do wszystkiego się brał, wszystko mu jakoś wychodziło, umiał zawsze być pomocny i przydatny. Pamiętał, co komu może zrobić przyjemność i zawsze starał się to uczynić. Wcześniej odczuwał troski życiowe otoczenia. Gdy coś wśród bliskich rozwijało się nie tak, jakby sobie życzyć należało, umiał w nieznaczny sposób kierować sytuacjami, potrafił w sposób prosty poprowadzić trudną rozmowę, nad którą rodzice sobie głowy łamali. W chorobie, w trudnych sytuacjach podczas wojny był nieocenioną pomocą.

[T. Strzembosz, Bohaterowie „Kamieni na szaniec” w świetle dokumentów, s. 22–23.]

Są w kraju domy rodzinne, w których istnieją warunki dające możliwość zdrowego rozwoju psychicznego i fizycznego zarówno rodzicom, jak i dzieciom. W domach tych jest wystarczająca skala zarobków, bez których jakże trudno o normalne ludzkie życie. Jest także harmonia wśród członków rodziny, oparta na wzajemnej dobrej woli i ustępliwości. Jest pewien poziom kulturalny, umożliwiający udział w przeżyciach całego świata i w dorobku przeszłych pokoleń. Jest wreszcie specjalna atmosfera, którą trudno określić, a którą poznaje się tylko po skutkach: poszczególnych członków rodziny łączy mocna więź, dom jest ostoją i otuchą, dodaje odwagi, zapewnia spokój.

Takimi właśnie dobrymi domami rodzinnymi były domy Alka i Rudego. Ojcowie każdego z nich byli ludźmi biorącymi czynny udział w życiu społecznym i Matki obu chłopców były kobietami życzliwymi i mądrymi. Oba te domy nie znały się jednak, nie utrzymywały ze sobą stosunków.

[A. Kamiński, Kamienie na szaniec, s. 16.]

PYTANIA POMOCNICZE

- Do jakich tradycji historycznych odwoływano się w domach rodzinnych bohaterów?
- Jakie cechy łączyły domy rodzinne bohaterów?
- Jakie wartości przekazywano młodym ludziom z pokolenia na pokolenie?
- Jakie stosunki panowały między dziećmi a rodzicami?

TEKSTY DO WYBORU

**WSPOMNIENIA SANITARIUSZKI BATALIONU AK „MIOTŁA” HALINY
DUDZIKÓWNEJ „SŁAWKI”**

4 sierpnia oddział porucznika „Szczęsnego” był na placówce w tzw. „Alkazarze”. W pewnym momencie do naszego patrolu sanitarnego [...] przyszła wiadomość, że żołnierze oddziału poszli do szturm. Szturm się nie udał i na przedpolu były trzy osoby ciężko ranne. Po tych rannych poszedł brat jednego z żołnierzy i sanitariuszka „Baśka”. I oni zostali ranni i również zostali na przedpolu. Wtedy „Niebora” wysłał moją koleżankę „Zosię” [...] i mnie. Dotarliśmy do placówki „Szczęsnego”, ale tutaj powstał problem, czy mamy iść po tych rannych, czy nie. Bo „Szczęsny” [...] uważał, że sanitariuszki powinny pójść po rannych, a jego zastępca twierdził, że nie dojdziemy. W rezultacie „Szczęsny” powiedział, że my musimy wybrać, że on żadnego polecenia, rozkazu nie wydaje. Myśmy się zdecydowały, że pójdziemy. Najpierw czołgałyśmy się za takim malutkim murkiem z cegieł [...] a potem nie było nic, poza dość wysoką, ale tylko trawą. Więc myśmy tak pełzły na brzuchach, bardzo powolutku, torby opatrunkowe trzymałyśmy przy głowie, bo nam się wydawało, że nas to osłoni. Ostrzeliwano nas cały czas. [...] Ale nie trafiono ani Zosi, ani mnie. Byłyśmy o kilkanaście metrów od rannych, ale ten ostrzał się zwiększył i myśmy się z Zosią zastanawiały, co robić, to znaczy, czy pełzniemy dalej, czy nie. I wtedy usłyszałyśmy głos dziewczęcy: „leżeć tam do cholery!” – dosłownie – „Nie ruszajcie się”.

Na nas tak to podziałało, że [...] leżałyśmy nieruchomo, jak dwa placki. Po pewnym czasie Niemcy przestali strzelać. Doszli pewnie do wniosku, że skoro się nie ruszamy, to zapewne nas trafili. Leżałyśmy tam wiele godzin. Wieczorem rozpoczął się bardzo intensywny ostrzał z naszej strony między innymi po to, by wyciągnąć rannych. No i wtedy wyciągnęło się rannych, i wydostałyśmy się z tego przedpola między placówką polską a niemiecką.

[cyt. za: W. Bartoszewski, *Dni walczącej Stolicy*, Warszawa 2004 s. 46–47.]

S. SIERADZKI, EWAKUACJA RANNYCH

Wkrótce dowiaduję się, że do Śródmieścia idziemy kanałami. Ja mam iść na czele kolumny rannych. Na podwórzu spora grupa chorych – wszyscy chodzący. Ranni, którzy nie mogą ustać o własnych siłach, pozostają w szpitalu na fasce losu, bo niestety, nic dla nich nie można zrobić. Jakże szlachetna jest w tej sytuacji decyzja Konrada. Stracił rękę, ale ma jeszcze dosyć sił, by odbyć wędrówkę kanałami. Nie pozostawia jednak swego przyjaciela Karola... zostają razem na Starówce. Zbiórka rannych do ewakuacji odbywa się w bramie. Obliczam stan – jest nas sześćdziesiąt trzy osoby. Ktoś udziela nam wskazówek, jak mamy się zachowywać w kanale. [...] Opuszczam się do kanału [...] O dziwo! Nie jest wcale głęboko – może do połowy łydek, może do kolan – nie czuję tego. Jestem w butach i spodnie mam spięte na kostkach. Stanałem pewnie na nogach i szukam stalowej liny – drogowskazu naszego marszu. Żadnej liny jednak nie znajduję, idziemy więc w nieznane. [...]

Jestem tak osłabiony, że już ślaniam się na nogach. Opiaram się o ściany kanału. Stwierdzam, że kanał ma w przekroju poręcznym kształt elipsy. Gołymi dłońmi – przez warstwę obrzydliwej, obślizgłej mazi – wyczuwam, że ściany zbudowane są z cegieł. W kanale czuje wilgotny zapach stęchlizny. Powietrze jest tu straszne, co męczy oczywiście rannych. Od czasu do czasu monotony szum spływających ścieków przerywa jakiś jęk. Zdaje mi się, że to jęk Doroty, która zdecydowała się na przemarsz kanałem mimo poważnej rany przestrzalowej. Dochodzimy do rozwidlenia kanału. Staję wobec problemu: w którym kierunku iść? [...] Krótki odpoczynek, skręcamy w prawo i idziemy dalej. Po paru minutach marszu widzę przed sobą słabe rozjaśnienie ciemności kanałowych. Wędrówka nasza trwa już ponad godzinę. Zbliżając się ku jasności pocieszam się w myśli, że to już koniec kanałowej podróży. Wkrótce znaleźliśmy się przy studzience włazowej. Studzienka jest nakryta pokrywą, w której są szpary przepuszczające światło dzienne [...] Po paru minutach – nic nie usłyszawszy – decyduję wychodzić. Po stopniach z żelaznych prętów, wmurowanych w ścianę studzienki, wspinam się ku żeliwnej pokrywie. Przez szpary w pokrywie widzę małe fragmenty domu, który nie jest zniszczony. W szerokich oknach są nawet całe szyby. To wszystko nie mówi mi, gdzie się znajdujemy. [...] Długo trwa rozpoznawanie fragmentu kamienicy. Strażak orzeka wreszcie, że jesteśmy już w Śródmieściu – na skrzyżowaniu ulic Chmielnej i Nowego Światu. Jeżeli tak, to kres naszej wędrówki już osiągnęliśmy, można wychodzić!

Włazę na drabinkę, układam na głowie złożony we czworo beret i z wielkim trudem unoszę potężny ciężar pokrywy kanałowej. W niektórych sytuacjach człowiek jest zdolny do wysiłków ponadludzkich. Pokrywa się uniosła. Nagle... truchleję. Poznaje „dom bez kantów” na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia, widzę niemiecki czołg, a na nim dwóch, a może trzech Niemców. Czołg jedzie wprost na właz do kanału. Wydaje mi się, że Niemcy zobaczyli moją głowę pod uchyloną pokrywą, chociaż trwało to naprawdę ułamek sekundy. Jakaś niewidzialna siła wepchnęła mnie z powrotem do kanału. Po prostu zleciałem do studzienki włazowej i już ruszamy dalej. Za chwilę mogą posypać się do kanału granaty, nie ma ani chwili do stracenia. Trzeba czym prędzej umknąć spod włazu. Aby prędzej... aby dalej...

[cyt. za: *Pamiętniki żołnierzy baonu „Zośka”, Warszawa 1970, s. 306–314.]*

EWAKUACJA

Pierwsza niedziela Powstania. Nie wiem dlaczego, tak potem zawsze składało się jakoś, że każda niedziela była dla nas dniem krytycznym. [...] Pod ścianą domu, w którym mieści się dowództwo, stoi Magda. Jak inaczej wygląda teraz – w tygrysie ściągniętym paskiem, z przysypanymi kurzem złotymi włosami. I ona jest tutaj. Z takim samym niedbałym wdziękiem, z jakim przystawała kiedyś na chwilę oparta o ścianę w przerwie między jedną płytą a drugą – z takim samym ślicznym uśmiechem stoi teraz obok mnie i zapala papierosa. Kiedyś (to kiedyś wydaje się teraz snem) – jeździła konno, tańczyła, pędziła na rowerze uprzedzając o „wypadkach”, dziś – pójdzie z rozkazem na samą linię, będzie biegać nieustrudzenie wśród świstu kulek, w odblasku palących się domów. Trochę bledsza, mizerniejsza, ale z tym samym błyskiem w oczach. A za parę godzin wróci z takiej wyprawy po raz ostatni, już na noszach, w kałuży krwi. [...]

– Pierwszy i drugi patrol z noszami!

Obrywają parę cierpkich uwag, że za wolno się ruszają. Idziemy, a raczej biegniemy, [...] wpadamy w jakąś bramę.

– Tu są ranni?

– Tutaj.

Po wąskich, krętych schodkach w dół do jakichś korytarzy czy piwnic, składy fabryki Pfeifera. Krew i jęki. Rzucają się jacyś ludzie, ciągną...

– Siostro, tutaj, najpierw tutaj, siostro, ratunku!

Ranni jęczą, jakaś kobieta łka histerycznie, kilku leży bez ruchu – a między nimi wystraszone, blade kobiety, bezradni mężczyźni. Cywile.

– Spokój!

Na oszalały ze strachu, przerażony tłum trzeba nieraz krzyknąć. Trzeba wyrwać się ciągnącym na wszystkie strony rękoma, nie iść tam, gdzie wołają, tylko tam, gdzie najpierw pomoc być musi. [...]

W kącie na jakichś szerokich piętrowych półkach czy pryzkach leży jeszcze dwóch ciężko rannych, którymi zajmują się teraz Baśka i Irena. Mój leży nieruchomo. Nie rusza się nawet wtedy, kiedy rozcinamy nożyczkami ubranie, a raczej jego strzępy i odkrywamy ogromną, na szerokość dwóch dłoni głęboką ranę poniżej okolicy nerek. Leży, przycięty dziwnie. Czyżby i kręgosłup naruszony? [...]

Może instynkt, a może jakieś niewytłumaczone przeświadczenie każe mi obmywać ranę, pakować w nią gazę, całe paczki ligniny – pomimo, że rzeczywiście nie daje znaku życia.

Irena pomaga, podtrzymując go lekko w pasie, klęcząc w kałuży krwi, kiedy bandażuję rozorane plecy i krzyż.

Nagle jęknął! Dziwnie wygląda jego prawa noga. Dopiero teraz widać. Widocznie strzaskane udo, stopa wykręcona piętą do przodu. [...]

– Deski!

Irena energicznie prosi gapiących się mężczyzn i z ich pomocą przynosi skądś wąskie drzwi. Układamy je tuż przy jego plecach.

– Pomóżcie!...

Materiał pomocniczy nr 5

Wspólnymi siłami, wolno i ostrożnie przewracamy go razem z drzwiami na wznak. Głowa zakołysała się bezwładnie, przetoczyła z ramienia ramię i zawisła nieruchomo odrzucona w tył. Jęczy cicho...

Baśka i Ala są blade jak ściana. Podtrzymują bezwładną głowę. Nagle bandaże zaczynają przesiąkać. Nie wiadomo jak – całe paki waty i ligniny. [...] Ktoś mówi szeptem:

– Otwiera oczy...

Otwiera szeroko nie bardzo przytomne... i dopiero teraz widać, że to zupełnie młody chłopiec, może dwudziestoletni. Któraś mokrym kawałkiem waty obmyła mu twarz i czoło.

– To nic, zaraz zrobimy panu zastrzyk, weźmiemy pana do szpitala. Nie boli noga?

Cichy, rwący się szept:

– Nie czuję nóg, siostró, nic nie czuję, tylko tak słabo. Pić!

Halszka wydobywa manierkę i przechyla mu do ust. Irena podtrzymuje głowę. Opada znowu, na czole krople potu.

– Teraz panowie nam pomogą przenieść go na nosze!

Podeszło dwóch mężczyzn. Wspólnymi siłami układamy go, przywiązane do deski na noszach, zapinamy pasy. Po krętych schodkach w górę. Dwie pierwsze wchodzą zgięte w pół, opuszczając jak najniżej nosze, dwie następne unoszą w górę drążki na ramionach. Niesiemy go, jest taki bardzo ciężki.[...] Zgięte w pół biegniemy z noszami – prędzej, prędzej – byle donieść go w jakieś bezpieczne miejsce. [...]Nagle gruby, przybliżający się warkot. Samoloty. [...] Nalot.

Chłopiec otworzył oczy i coś mówi. Nie słychać go prawie wcale – ziemia drży od huków, potem dolatuje szept:

– Ratujcie się, uciekajcie, zostawcie mnie, i tak umrę...

Irena klęczy przy noszach, coś krzyczy, ale nic nie słychać. Wzmagający się warkot nad głową. Przytulone do noszy czekamy. Teraz to już chyba koniec.

Bliski zupełnie huk, dźwięk tłuczonego szkła... Odruchowo, jak na komendę wszystkie pięć pochylamy się nad rannym. Wyciągamy ręce, jakby – rozpostarte nad nim i drżące z wysiłku – były jakkolwiek osłona. Mur za nami zaczyna się osypywać, z góry lecą kawałki tłuczonych szyb. A potem cisza.

Irena uśmiecha się. Po szyi jej płynie struga krwi, spływa spod włosów z rozciętej głowy. Ręce Baśki ze zdartą skórą zasypane szkłem. Ale to nic. Chłopiec jęczy i w tej trwającej parę sekund ciszy wyraźnie słychać:

– Zostawcie mnie, tu wszystkich wystrzelają!...

Zostawić go?

– Spokojnie, kolego, nie mówmy o tym.

Uśmiechamy się wszystkie. Właściwie nie wiadomo z czego – czy z tej chwili, w której każda z nas powiedziała sobie w duchu, że to już koniec, czy z tego, że tak próbowałyśmy go obronić rękami. Przecież to by nic nie pomogło. Czy z tego, że on nas ma chyba za ostatnich tchórzów? [...]

WSPOMNIENIA STANISŁAWA ZADROŻNEGO „PAWLICZA”

O pewnej godzinie przyszedł do mnie „Topornicki”. Był to konspiracyjny pseudonim młodego poety, Tadeusza Gajcego. [...] Pragnąłem, by wszedł do naszego zespołu. Okazało się jednak, że to wcale nie taka prosta sprawa. Tadeusz Gajcy należał bowiem do bojowego oddziału AK. Był po prostu żołnierzem liniowym. Należało go więc wyreklamować. Czasu nie było wiele. Interweniowałem za pośrednictwem mych przełożonych. [...] Na próżno. Nie udało się. Tego właśnie przedpołudnia Gajcy przyszedł mi to powiedzieć [...]. Gajcemu nie spieszyło się z odejściem. Zachowywał się jednak jak czło wiek, który coś w sobie tai, z czego chciałby się zwierzyć, ale trudno mu przełamać nieśmiałość. Wreszcie wykrztusił:

– Przyniosłem tu panu coś. Może pan rzuci okiem. Podał mi maszynopis. Zacząłem czytać. Był to początek dramatu „Homer i Orchidea”

„Na pustym, wysokim brzegu morskim, oparta o pień skarlałego drzewa, którego głowa zwiesza się ciężko ku ziemi – stoi Orchidea.

Jest w białej, opadającej luźno jak śnieg sukni. Olbrzymia korona jasnych włosów świeci w wielkim jak kościół słońcu”.

[...] Podniosłem wzrok. Przede mną siedział młody poeta, drobnutki, szczupły, dziecko prawie [...]. Gajcy nie odchodził. Mówił o tym i owym, o sprawach mało ważnych. Wreszcie nieoczekiwanie postawił takie pytanie:

– Czy był pan na wojnie?

– Byłem w 39, nad Bzurą.

– Czy może mi pan powiedzieć, jak trzeba... jak można pokonać strach... jak trzeba umierać? Bo ja się boję. I dlatego pytam, co trzeba zrobić, by jeśli trzeba zginąć, to tak, żeby nikt nie widział strachu.

Spuścił głowę w dół, jakby się wstydził tej chwili szczerości. Począłem mu coś tłumaczyć, ale sam już nie wiem co, tak byłem tym pytaniem przejęty. W każdym razie musiały to być jakieś frazesy, banały. On też, zdaje się, tego nie słuchał, a może i słuchał, ale raczej myślał o tym samym, o śmierci. [...] Wreszcie wstał i począł się żegnać.

[...] Nie wiem, nigdy się tego nie dowiedziałem, dlaczego Tadeusz Gajcy przyniósł mi tego dnia do przejrzania swój dramat Homer i Orchidea; nie wiem, dlaczego pytał, jak trzeba umierać, jak pokonać strach; wiem natomiast, że w czternaście dni później zginął na barykadzie.

[cyt. za: W. Bartoszewski, *Dni walczącej Stolicy*, s. 127–129.]

WSPOMNIENIA ELŻBIETY OSTROWSKIEJ „ELI”

Specyficzny, ostry zapach siarkowodoru, zmieszany w wonią zastałego, gnijącego szlamu i butwiejących roślin uderza w nozdrza. Światło latarki, żółte i skoncentrowane, pada kilka metrów w głąb kanału, ślizga się wzdłuż owalnie sklepionych ścian pokrytych liszajami wilgoci, wreszcie rozprasza się i zanika. Powierzchnia sięgającego po pas błota połyskuje w blasku jak czarny, płynny metal. Czy uda się tędy nawiązać łączność? [...]

Wysokość kanału w najszerszym miejscu nie przekracza półtora metra. Należy więc pochylić głowę – niżej, jeszcze niżej..., oprzeć się ręką o oślizgłą ścianę, ugiąć w kolanach nogi.

[...] Porównując ich (kanałów) układ z planem warszawskich ulic, nietrudno się domyślić, że jesteśmy pod placem Na Rozdrożu. Na lewo ciągną się Aleje Ujazdowskie, na prawo zaś aleja Szucha. [...] obecnie największe, najbardziej zwarte skupisko esesmanów. [...]

Kanał pod aleją Szucha, węższy i niższy, szybciej jednak doprowadzi do placu Unii [...].;

...Huk, zgrzyt żelaza, chrzęst miażdżonych kamieni. Na górze, nad nami przesuwa się po jezdni czołg. [...]

Przejechał! [...] Jak iść dalej?... Trzeba zdecydować. Można by prosto pod Puławską, jednak ta szeroka arteria ze skupiskami Niemców zajmujących wiele domów wzdłuż ulicy, a także na przecznicach: Rakowieckiej, Narbutta, Willowej, Dworkowej, cała ta okolica może pozostawać w rękach wroga. [...] Łączniczki, które od strony Wisły dotarły aż do ulicy Chocimskiej, relacjonowały, że właśnie silny ostrzał wzdłuż Puławskiej czynił przebycie jej niemożliwym nawet nocą. W kanale ta sprawa nie gra roli. [...]

– Pod Puławską nie warto próbować – uprzedza moja towarzyszką [...].
– Tamtędy w ogóle nie znalazłyśmy przejścia przez spiętrzone ścieki.

Odbijemy więc w prawo, by zagłębić się w boczne uliczki Mokotowa [...].

Błoto oblepia nogi. Duchota, brak wprawy i doświadczenia w rozkładaniu sił potęguje zmęczenie. [...] Tu by się trzeba czołgać. [...] Pełne lęku wahanie narasta. Jeśli akurat spadnie deszcz, jeśli Niemcy gdzieś spuszcza wodę lub zamkną jej odpływ – zatopią nas. [...]

Musimy posuwać się na kolanach i łokciach w półzgięciu tamującym oddech [...] Wysokość bocznego kanału w najszerszym miejscu nie przekracza. chyba metra. [...]

Studzienka. Można usiąść na dnie, wyprostować plecy, odpocząć. Właz na górze jest zamknięty. [...] Gdzie jesteśmy? [...] Zaryzykować więc? Wyrzucić tym włazem?

[...] Pokrywa ani drgnie. Jak ją podważyć? Unieść?... Nikt o tym nie pomyślał. [...]

W następnej studziencie historia się powtarza. [...] Kanał ciągnie się i ciągnie [...]. Ból szarpie mięśnie, potęguje przerażenie: nie wyjdziemy na Mokotów, nie trafimy do Śródmieścia. Siły uchodzą, zaciera się zarys drogi powrotnej. [...]

Nie sposób zrozumieć i określić, kiedy, gdzie to się stało. Nieznacznym przewiewem cuci chłodnym powietrzem. W studziencie zarysowuje się jak gdyby półksiężyc nieba, lekko podświetlonego łuną. [...] Szybko po metalowych klamrach! W górę! Głowa ostrożnie wysuwa się na powierzchnię [...].

Więc to już Mokotów?... nigdzie światła, choćby najślabszego, nigdzie żywego ducha. [...] Kilka kroków wzdłuż płotu. Niskie zabudowania, ogrody, parkany... [...] Jedna, druga przecznica – wiele drzew, chrząści żwir na drodze, rozległy trawnik..., czyżby park Dreszera?

– Stać! Kto idzie?! Ręce do góry!

– Nasi! – nagle odprężenie nerwów, radosny zawrót głowy – nasi! [...]

– Ze Śródmieścia – wołam. [...] – Do pułkownika „Przegoni” od komendanta „Montera”.

[cyt. za: W. Bartoszewski, Dni walczącej Stolicy, s. 61–63.]



WSPOMNIENIA RYSZARDA BIAŁOUSA „JERZEGO”

Wszyscy jesteśmy w mundurach i hełmach niemieckich zdobytych w pierwszych dniach Powstania w magazynach na Stawkach. Tylko czerwono-białe opaski na ramieniu – niewidoczne zresztą w ciemności – odróżniają nas od oddziału „Waffen SS”. Mamy szansę przejścia Ogrodem Saskim jako oddział niemiecki. [...]

Zapowiadam wszystkim, aby milczeli, jedynie „Drogosław” i „Witold”, znający dobrze niemiecki, mają iść na czołe i odpowiadać na ewentualne pytania. Daję znak, wychodzimy. [...] Długim korowodem cieni wypełzają chłopczy z piwnicy, zapadając w krzaki. Jakieś dwa auta pancerne mijają nas szybko i znowu zapada cisza. W odległości 30 metrów od nas niemiecka kuchnia połowa rozbrzmiewa gwarem rozmów, a migotliwe światło ognia oświetla nas czasem czerwonym blaskiem płomienia. Leżymy chwilę bez ruchu, aby za chwilę kocimi skokami przebyć jasny pas drogi i zapaść w gąszcz krzaków po drugiej stronie. [...]

Podnoszą się wszyscy, by spokojnym wolnym krokiem i szerokim rojem iść za mną i Andrzejem „Morro”. [...]

Broń w rękach gotowa do strzału. Granaty. Ubezpieczenia z bronią maszynową na czele, bokach i tyle roju.

Marsz nasz jest coraz to swobodniejszy [...]. Mijamy główną aleję i dochodzimy na wysokość Palmiarni, gdzie przy barykadzie ruszają się jakieś postacie. Siatka płotu oddziela nas od ulicy. Wysuwam się naprzód, by znaleźć przejście, gdy od strony barykady pada po niemiecku wypowiedziane zdanie: – „Tędy nie przejdziecie, musicie się cofnąć”. „Drogosław” beczelnie odpowiada po niemiecku: – „Wiemy, którędy mamy iść” – i idziemy dalej, wolno defilując przed zdziwionymi nieco Niemcami w kierunku Marszałkowskiej. [...]

Szczęśliwie znajduję nagle w siatce szeroki otwór wyrwany widać jakimś wybuchem – i, nie namyślając się wiele, przebiegam ulicę, a za mną schylając się nisko „Andrzej”, „Witold”, „Drogosław” i reszta.

Tu już jesteśmy w zasięgu broni naszych kolegów, obsadzających domy na Marszałkowskiej i Królewskiej, co nakazuje nam zwiększyć ostrożność i wykorzystywać możliwe przesłony, jakimi są drzewa. W niedalekiej odległości od Giełdy mijamy gniazdo niemieckiego ckm-u, z którego obsługą wywiązuje się znowu krótka rozmowa. [...] „Da sind die polnische Ratten” – ostrzegają Niemcy, pokazując rękoma w kierunku wypalonych domów na Królewskiej.

Za chwilę ruiny Giełdy rysują się przed nami wyraźnym cieniem na tle czerwonego od pożarów nieba.

I znów znak ręką i cała masa biegiem rzuca się na budynek, by ku radości naszej stwierdzić, że Giełda pusta. Niemców nie ma, a od Polaków dzieli nas

tylko szeroki, pusty pas ulicy Królewskiej.

Podciągam wszystkich do niskiego murka, jaki nas dzieli od ulicy, gdy nagle seria z km-u, bijącego ze stanowiska polskiego na narożniku Królewskiej i Marszałkowskiej, uderza w mury Giełdy, osypując nas mnóstwem odprysków. Mój sąsiad zwija się nagle, bez jęku niemal, i pada [...]. Schylam się nad nim, by stwierdzić, że nie żyje. Był to jeden z trzech ostatnich żołnierzy kompanii „Giewont”.

Podnoszę się natychmiast i wołam ku swoim, a chłopcy powtarzają, skandując: „Zgru-po-wa-nie „Ra-do-sła-wa”, Sta-rów-ka, nie strze-lać” – i wypadamy z Giełdy, przecinamy skośnie ulicę, wpadamy w Zielną, gdzie piętrzy się barykada i wpadamy wprost w ramiona swoich „Polaków”.

[cyt. za: W. Bartoszewski, *Dni walczącej Stolicy*, s. 233–236.]



RELACJA ZDZISŁAWA JEZIORAŃSKIEGO „JANA NOWAKA”

W środę 30 sierpnia wezwany zostałem do „Montera”, który zapowiedział, że tej nocy nastąpi odwrót załogi Starego Miasta. Wszystkie doborowe siły ze Śródmieścia zostaną ściągnięte i skoncentrowane do ataku na niemiecki korytarz, biegnący od Ogrodu Saskiego przez Żelazną Bramę i Hale Mirowskie. Niemcy zostaną wzięci w dwa ognie. My, ze Śródmieścia, mamy wesprzeć przeprowadzające się do nas oddziały ze Starówki.

– Będzie to największa z dotychczasowych operacji wojskowych przeprowadzonych w Warszawie – mówi „Monter”. – Chcę mieć pana przy sobie jako sprawozdawcę, który to opisz i nada po polsku i angielsku.

Człowiek był w doskonałym nastroju, pełen wiary w powodzenie ważnego przedsięwzięcia. Około 10 wieczorem wyruszyliśmy w kierunku Grzybowskiej. Im bliżej celu, tym trudniej było zorientować się, gdzie jesteśmy. Wychowałem się w tym mieście, znałem każdy zakątek, ale szliśmy lasem kamiennych ruin, jakąś krętą ścieżką wydeptaną wśród gruzów, wspinając się po pagórkach i usypiskach z cegieł. Pytałem co chwilę przewodnika, gdzie jesteśmy. Gdzieś niedaleko pl. Grzybowskiego zatrzymaliśmy się na podwórku okolonym resztkami wypalonych murów. Była tu spora koncentracja oddziałów. Żołnierze siedzieli pod murem w oczekiwaniu na rozpoczęcie akcji. „Monterowi” meldował się co chwila któryś z oficerów. [...]

Gdzieś po północy „Monter” każe wystrzelić zieloną raketę, umówiony sygnał dla tamtych na Starówce, by zaczynali. Długo wpatrujemy się w niebo, czekając na odpowiedź, która nie nadchodzi. Pytam pułkownika, jakie są siły nieprzyjaciela.

– Trzy bataliony – odpowiada – i prawdopodobnie siedem albo osiem czołgów. – Człowiek objaśnia, na czym polega plan. Będzie dywersyjne uderzenie w Ogrodzie Saskim, które odciągnąć ma uwagę Niemców. Przez ten czas nasi wywalą dziury w murach kamienic wychodzących na pl. Żelaznej Bramy i Hale Mirowskie, zrobią wypad w stronę Elektoralnej i spotkają się z tamtymi. Żeby nie wziąć swoich za Niemców, jedni i drudzy mają wykrzykiwać hasło „Sosna”. Najniebezpieczniejszy moment to wypad przez wywalone otwory na Hale Mirowskie.

Gdzieś około pierwszej wybuchu strzelanina w rejonie Ogrodu Saskiego. Słychać krótkie serie z pistoletów maszynowych, ogień karabinowy i wybuchy granatów. W niebo wylatuje pomarańczowa raketa. Niemcy wzywają pomocy. Odpowiada im ryk czołgów nadjeżdżających od strony Chłodnej.

Nadchodzi moment wyruszenia naszego natarcia. Jestem cały czas przy „Monterze”, przysłuchując się nadchodzącym meldunkom i wydawany rozkazom.

Po pół godzinie pułkownik zaczyna się niepokoić. Nasze natarcie nie może jakoś ruszyć z miejsca. Decyduje się pójść do przodu i zobaczyć, co się tam dzieje. Towarzyszę mu krok za krokiem. Po drodze trzeba dokonywać akrobatycznych sztuk, do których nie jestem przysposobiony. Wspinamy się po spalonych częściowo schodach, skaczemy z jednego kawałka muru na drugi, próbując przedostać się przez wypalone kamienice. Docieramy w końcu do linii zniszczonych domów ulicy Krochmalnej, które wychodzą na Hale Mirowskie. Stąd właśnie miał nastąpić wypad. Przed pułkownikiem wyłania się sylwetka młodego oficera. Melduje się dowódca plutonu: porucznik „Janusz” (Janusz Zapolski).

– Co wy tu jeszcze robicie? – pyta ostro „Monter”. – Na co czekacie? Panie pułkowniku – próbowaliśmy. Minerki wysadziły dziurę w murze. Wyjść na tamtą stronę nie sposób. Niemieckie granatniki są wstrzelane w otwór i w podwórze. Spokojny dotychczas „Monter” nagle podnosi głos.

– Wykonać rozkaz. Ma pan natychmiast rozpocząć wypad. My tamtych bez pomocy nie zostawimy.

– Rozkaz, panie pułkowniku – odpowiada głucho „Janusz”.

Wspinam się znowu za Chruscieniem po czymś, co było kiedyś klatką schodową, i stajemy w wypalonym oknie. Pod nami o dwa piętra niżej studnia podwórka. Po lewej wypalone otwory okienne wychodzą na Hale Mirowskie czy może plac Żelaznej Bramy. Podwórko pod nami zapełnia się powoli młodymi ludźmi. Rozpoznaję grupę dziewcząt. To pewno patrol minerek, który wysadził dziurę w murze. Nagle dzieje się coś strasznego. W ten tłum młodych na dole wpada jeden granat, za nim drugi i trzeci eksplodując na podwórku. Za nimi wybuchają butelki z benzyną przeznaczone na niemieckie czołgi. Słyszę przejmujące krzyki bólu i przerażenia. Przeważają głosy dziewczęce. Płomienie rozjaśniają w dole pod nami dantejską scenę: ruszający się kłęb rannych i palących się ludzi.

[...] Tak było w jednym punkcie. Przeszliśmy z „Monterem” cały odcinek. Gdzieś indziej przygotowana tak starannie operacja utknęła także bliżej lub dalej od pozycji wyjściowej. Nad ranem pułkownik zarządził powrót oddziałów na stanowiska wyjściowe. Byłem przy nim, gdy składano mu meldunki. Zginęło tej nocy około stu młodych ludzi. Około stu pięćdziesięciu było rannych, w tym wielu ciężko.

[cyt. za: W. Bartoszewski, Dni walczącej Stolicy, s. 227–230.]

WSPOMNIENIA TADEUSZA SUMIŃSKIEGO „LESZCZYCA”

Stoimy na gładkiej powierzchni podwórza wielkiego, mało zniszczonego gmachu Banku Polskiego. Noc jest cicha i jasna. Spostrzegam sylwetki majora „Jana”, „Amorka” i „Jerzego”. Stoimy w szeregu – kompania „Rudy” – ilu nas może być? Trzydziestu? Czterdziestu? Cała kompania, pierwszy raz jesteśmy razem na zbiórce (przynajmniej w mojej obecności) – teraz, gdy jest już nas tak mało. Wielu rannych, świecą bandażę, twarze spokojne, twarde, zacięte. Sylwetki ciemne i nieruchome. Jest zbiórka, mam kłopoty z odliczaniem, ciągle marnie słyszę. Dziwna mi się wydaje ta odprawa: dwuszeręg, raport, tak nagle po akcjach, pozycji... Nie wiem – odwykłem czy przywykłem do wojska! Major „Jan” coś mówi, staram się nie uronić żadnego słowa:

– Jestem z was dumny, chłopcy, jestem dumny, że takim oddziałem dowodziłem... Dumni są moi dowódcy, że taki oddział wchodził w skład ich grup...

Major mówi ładnie, prosto i szczerze, bez patosu i niepotrzebnych frazesów. Nie robi to wrażenia „podnoszenia na duchu” ani „brania na ambit”. Nie znoszę fabryk sztucznych podniet i ideałów.

Dał nam do zrozumienia, że Naczelne Dowództwo uważa nas za najlepszą kompanię nie tylko w Warszawie, ale w całej AK. Bardzo mi przyjemnie, ale jak musi być u innych, jeśli my jesteśmy najlepsi? Krytycznie patrzę na nasz oddział i niepokoję się, jak zwykle przy tego rodzaju pochwałach.

– Dziś kończymy okres walki na Starówce...

Jak to kończymy? Co to znaczy? Przecież ma być jakaś akcja, jak można skończyć? Nie rozumiem, o wycofaniu nie było mowy, jesteśmy na Starym Mieście, więc coś kończymy?

„Kompania pójdzie w pierwszym uderzeniu oddziałów mających się przebić do Śródmieścia – reasumuję usłyszane wiadomości. – Za nami ruszą inne, Starówka przejdzie w ten sposób lub nawet nawiąże i utrzyma stałe połączenie z centrum miasta”.

Przemawiał jeszcze kapitan „Jerzy” – słabo słyszałem (stał dalej) i nie zapamiętałem treści. Tak jakoś patetyczniej.

Dowódcy idą na odprawę, my mamy dwie godziny czasu. Siedzimy w jakimś korytarzu. Obowiązuje cisza – po drugiej stronie ulicy są Niemcy, nie mogą zauważyć koncentracji większej ilości ludzi. Jest masa jedzenia: chleb, konserwy, kostki cukru, mleko skondensowane, a nawet po tyku wódki. Puszki przechodzą z rąk do rąk.

– Nie jeść dużo, możecie dostać w brzuch – psuje ktoś nastrój rzadkiej dla nas uczty.

[*cyt. za: W. Bartoszewski, Dni walczącej Stolicy, s. 225–226.*]

WSPOMNIENIA JERZEGO WALESZKOWSKIEGO „ALEGO”

Należało możliwie szybko przedostać się przez otwartą przestrzeń wynoszącą około pięciuset metrów i dopaść do muru bezpośrednio ogradzającego magazyny.

[...] Chłopczy biegli jak szaleni, padali, podrywali się, znów biegli, padali, zrywali się... [...] Nową przeszkodę – mur sforsowaliśmy szybko za pomocą plastiku. Od razu po wybuchu wpadamy na teren magazynów.

Trrr, trrr... – powiał nas natychmiast ogień kaemów i pojedynczych kabe. Jedyna osłona – sterta kamieni okazała się wkrótce niebezpieczna, gdyż odpryski ich kaleczyły nas bardzo. [...]

Postanowiliśmy za wszelką cenę iść naprzód i dotrzeć do magazynów, za którymi znaleźlibyśmy osłonę. Z okrzykiem „hura!” podrywamy się. Ogień kaemów osadza nas na miejscu. [...]

Wyczekaliśmy chwilę i... skok pod ścianę oddaloną o dwadzieścia pięć, trzydzieści metrów od nas. Udało się.[...] Silnie zaczęły bić granatniki. Kilka magazynów stanęło w płomieniach, czarny dym przykrył widoczność, dezorientując nas zupełnie co do miejsca ukrycia się Niemców. [...]

Pomiędzy dwa sąsiednie magazyny powoli wjeżdżał czołg. Ziemia drżała pod nim złowrogo, a działo jego złowieszczo opuszczało się w dół i na lewo... Naraz błysk, huk i ciemności przed oczyma... Impet rzucił nas o ścianę magazynu.

Szybko wczołgaliśmy się pod rampę i czekaliśmy na odpowiednią chwilę, by wykonać jak najszybszy skok. Lecząc dokąd? Gdzie w końcu są nasi, a gdzie są szwaby? [...]

– Nie mamy tu co robić – orzekł „Nowina” – zapychamy dalej do przodu. Ja skaczę pierwszy!

Wyrzął zza muru i naraz osunął się cicho na ziemię. Na piersi jego rośla w oka mgnieniu ciemna plama. [...] Wciągnąłem go natychmiast za barak i gotowym opatrunkiem próbowałem przewiązać mu ranę. Szło mi to jednak bardzo niezręcznie. „Nowina” żył jeszcze i ostatkiem sił wykrztusił:

– „Ali”, nie zostawiaj mnie tutaj, zaciągnij do swoich. W kieszeni karteczka do...

Nie miał siły mówić dalej. [...] nie żył już.

[...] „Andrzej Morro” z visem w dłoni, spokojny już i opanowany, orzekł, że musimy wycofać się, bo wszyscy zginiemy tu od granatników albo spłonimy żywcem. Olbrzymie magazyny z niespotykaną ilością zapasów żywności paliły się szybko, rozsiewając w koło stopy iskiei i piekielny żar. „Morro” wyrzął zza baraku i naraz wrzasnął:

Materiał pomocniczy nr 5

– „Ali”! „Ali”! Wal szybko!

Doskoczyłem i bez namysłu, nie mierząc wcale, rąbnąłem serię z czterdziestki „Nowiny”, jedną, drugą, trzecią... Nie udało się trzem Niemiaszkom wyfrunąć na motocyklu spomiędzy magazynów. Trafiony kierowca skurczył się, puścił kierownicę i całym pędem wpakował się na sąsiedni magazyn. Z rozbitego motocykla posypały się jakieś puszki, eleganckie pantofle, masa rebrnych polskich monet.

– Musimy zebrać ludzi – zawyrokował „Andrzej Morro”.

Biegliśmy dalej [...] wołając:

– „Sad”, „Sad” do mnie, wycofujemy się!

Dobiegliśmy wkrótce do miejsca, gdzie kończyły się magazyny. Zaczynała się wolna przestrzeń, pokryta trawą i gdzie niedzgie sterczącymi drzewami. Pochyleni, próbowaliśmy wyrzeć zza jednego wzniesienia, by zorientować się, kto jest przed nami. Wtem, pac! – jakby kłaśnięcie w dłonie i... „Zak” zwałił się bezwładnie na ziemię. [...]

Dostał postrzał w brzuch, ale uśmiechał się mimo bólu i próbował sprzeciwić się, chciał iść sam, bez naszej pomocy. Chwyciliśmy go z „Andrzejem” pod ramiona i pod kolana, i nieśliśmy, a raczej wlekliśmy, zmęczeni nieludzko, obciążeni bronią, kierując się na widoczną z daleka remizę tramwajową. Po kilku minutach natknęliśmy się na „Floriana”, „Bogdana” i dwóch jeszcze ludzi, którzy nieśli również w brzuch rannego „Parysa”. Transport odbywał się bardzo powoli z uwagi na niebezpieczne strzały i ogromne zmęczenie transportujących, którzy ostatkiem sił dźwigali rannych kolegów, byle tylko nie zostawić ich na pastwę szwabów. Jakżeż długa i męcząca była droga powrotna w porównaniu z tą, którą przed dwiema, trzema godzinami biegliśmy do natarcia! [...]

Magazyny zostały zdobyte przez nas i obsadzone przez inne oddziały powstańcze, lecz jakimi okupione stratami!

[*cyt. za: W. Bartoszewski, Dni walczącej Stolicy, s. 98–100.*]

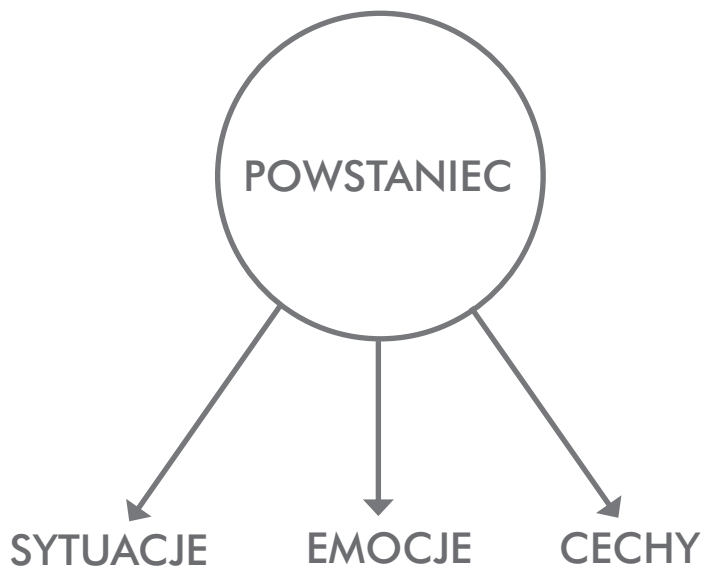
WSPOMNIENIA KRYSZTYNY MIERZEJEWSKIEJ-ROGALSKIEJ „SOBÓL”

Oddziały skrzyły w ulicę Grzybowską, w której piwnicach – mimo ciężkich walk – gnieździła się zmaltretowana ludność cywilna. Ta ludność, której odruchów tak żeśmy się bali. Głośno waliły serca, głośniejsze niż nogi o bruk. Jak nas pożegnają? Czy pobiegną naszym śladem pogrózki i kpiny, czy tylko wrogie milczenie? Jak zareaguje na wyjście ludność ostatniego wolnego kawałka Warszawy? Bo przecież tam, u wylotu Grzybowskiej, na barykadzie przy Żelaznej czeka już wojsko niemieckie. [...] Deszcz przestał mżyć. [...] Grzybowską witała nas szerokim otworem strzaskanych kamienic. Jak nas przyjmą?... Przyjęli, jak mogli tylko przyjąć ludzie, którzy przeżywali z nami wspaniałą poryw pierwszego entuzjazmu, przeżywali ciężki trud krwawej pracy dnia powstańczego, przeżywali nasze załamania i nasz wspólny koniec. Przyjęli, jak mogli przyjąć tylko ludzie, którzy nas kochali i czasami w rozpacz nie- nawidzili, ale przede wszystkim rozumieli. Wszystko, co żyło, wyległo na chodniki. Wynędzniałe sylwetki utworzyły szpaler, który krzyczał i milczał na przemian, szlochał i uśmiechał się, dodając nam odwagi, której sami potrzebowali tak bardzo. [...] Poczeli wynosić swój skromny majątek, aby go nam wpychać do rąk. Zасыpywano nas ołówkami, zeszytami, obładowywano jakimś garnuszkami, kubeczkami, czasem znajdowaliśmy w dłoniach czajniki, chustki do nosa, agrafki, jakieś grzebyki i lusterka – resztę dobra ludności Warszawy. [...] Na kupce gruzu stała kobieta, taka zwyczajna warszawska przekupka, w chustce na głowie, szerokiej spódnicy i wykrzywionych butach. [...] Żegnając nas szerokim znakiem krzyża podnosiła wysoko dłonie, w których trzymała obrazek Chrystusa: „W imię Ojca i Syna... Dzieci zabierają nam nasze dzieci”. I tyle było w niej godności, tyle bólu, że ludzie stojący w pobliżu poczeli powtarzać za nią to uporczywe zdanie, aż cała ulica rozbrzmiała jękiem: „Dzieci, nasze dzieci...”. Setki rąk wyciągało się, błogosławiąc nasze głowy. Straciliśmy nasz równy, bojowy krok. Za cały żal kapitulacji, za trud dwumiesięczny, za nędzę i poniewierkę – stokrotnie zapłaciła nam ludność Warszawy.

[*cyt. za: W. Bartoszewski, Dni walczącej Stolicy, s. 457–458.*]

PYTANIA POMOCNICZE

- W jakich sytuacjach znajdują się bohaterowie tekstu?
- Co odczuwają bohaterowie?
- Jakie decyzje muszą podejmować?
- Czego wymaga od nich sytuacja?
- Jakie cechy charakteru posiadają bohaterowie?



K. K. Baczyński

Pokolenie

*Wiatr drzewa spienia. Ziemia dojrzała.
Kłosa brzuch ciężki w górę unoszą
i tylko chmury – palcom czy włosom
podobne – suną drapieźnie w mrok.*

*Ziemia owoców pełna po brzegi
kipi sytością jak wielka misa.
Tylko ze świerków na polu zwisa
głowa obcięta strasząc jak krzyk.*

*Kwiaty to krople miodu – tryskają
ściśnięte ziemią, co tak nabrzmiała,
pod tym jak korzeń skręcone ciała,
żywcem wtłoczone pod ciemny strop.*

*Ogromne nieba suną z warkotem.
Ludzie w snach ciężkich jak w klatkach krzyczą.
Usta ściśnięte mamy, twarz wilczą,
czuwając w dzień, słuchając w noc.*

*Pod ziemią drżą strumyki – słysząc –
Krew tak nabiera w żyłach milczenia,
ciągną korzenie krew, z liści pada
rosa czerwona. I przestrzeń wzdycha.*

*Nas nauczono. Nie ma litości.
Po nocach śni się brat, który zginął,
któremu oczy żywcem wykluto,
Któremu kości kijem złamano,
i drąży ciężko bolesne dłuto,
nadyma oczy jak bąble – krew.*

*Nas nauczono. Nie ma sumienia.
W jamach żyjemy strachem zaryci,
w grozie drążymy mroczne miłości,
własne posągi – źli troglodyci.*

*Nas nauczono. Nie ma miłości.
Jakże nam jeszcze uciekać w mrok
przed żaglem nozdrzy wężących nas,
przed siecią wzdętą kijów i rąk,
kiedy nie wrócą matki ni dzieci
w pustego serca rozpruty strąk.*

*Nas nauczono. Trzeba zapomnieć,
żeby nie umrzeć rojąc to wszystko.
Wstajemy nocą. Ciemno jest, ślisko.
Szukamy serca – bierzemy w rękę,
nasłuchujemy: wygaśnie męka,
ale zostanie kamień – tak – głaz.*

*I tak staniemy na wozach, czołgach,
na samolotach, na rumowisku,
gdzie po nas wąż się ciszy przeczolga,
gdzie zimny potop omyje nas,
nie wiedząc: stoi czy płynie czas.
Jak obce miasta z głębin kopane,
popielejące ludzkie pokłady
na wznak leżące, stojące wzwyż,
nie wiedząc, czy my karty Iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią, z litości chociaż,
nad grobem krzyż.*

22 VII 43r.

[„Droga” 1944,
Śpiew z pożogi, 1947]